

Jerzy Kozarzewski

(1913 -1996)

Orzech

Suknia splotywała w oczach
prawie bez szelestu,
kładąc się na ziemi
opadłymi liśćmi.
Nad orzechem stał czas czekania
nie inny niż ten,
w którym zsunięta z ramiączek koszula
osuwa się do stóp,
odslaniając ciało kochanej kobiety
gotowe do oddania.

I w jednej chwili czas przyniósł
nagle inną nagość:
w ciemnych gałęziach orzecha
stała ona w szkielecej postaci
okrutnego zubożenia urody,
dojrzewającej z wolna w pąkach liści
bujnie tkających pokrój szaty
zdobionej wiosennie kwiatostanami
z gron i z kotków,
a w późniejszych porach –
butonami zielonych oszyci owoców,
ukazujących z czasem w pęknięciach
najpełniejszą dojrzałość gatunku.

I oto całą tę wspaniałość
rozkwitania, mocy
i bujności
zamienia w nicość
krótka chwila
jednego ranka
jak gdyby
stawał tu nad wszystkim
czas Sądu Ostatecznego.

Wierzba

Żonie

Kosz pełen pokrzyw na raki
ciągnięte kaczkorkiem
z rzeczki oplecionej sitowiem.
Nad koszeni – wierzba głowiasta
na pniu
pełnym brzęku os.
Po dnie pod wodą
nieporadnie pełzają raki do zabiej przynęty,
a na wodzie
stoi odbicie nieba,
zielonej głowy drzewa
i mojej chłopięcej postaci.

Wierzba płacze nad Chopinem. Szeregi
wierzb garbatych liczą rytmy wierszy,
a z mgły
wychodzi drzewo
zatrzymane pędzlem artysty
po to, aby odkryć młodość i siłę
i wywieść się z tej ziemi,
w której siedzą wierzby.

W parku naszego miasta jest wierzba
– Ty wiesz która, miła moja –
napełniana brzękiem pszczół
w czasie kwitnienia.
Tu przyszedł na świat nasze dzieci
i pewnie dlatego tę wierzbę
ogarnia wiatr.

Park jesienny

Jesienią czas odchodzi.
Nie widać jutra. Jest wczoraj
przypełzające mgłą
do obnażonych drzew
na których dzisiaj zawisłem
jak liść niewyskubany wiatrem.
W dole pode mną
szeleszczą dzieci
pełne kasztanowej radości.
Bulgoce ich śmiech.
Kipi gonitwa przy pniach.
A smuga słoneczna w którą wbiegają
niesie je ku górze
wyżej
i wyżej
ponad gałązkę, z której

Moja radość

Pomyśl!
mogę ci wszystko powiedzieć
tak jak na świętej spowiedzi –
w słowach zwyczajnych, prostych
choćbym za sobą mosty
palił, tracąc szlak odwrotu...

Pomyśl:
mogę się do cna obnażyć
ze wszystkich moich twarzy –
stanąć przed tobą boso...
A przecie nie stracę głosu
z słów nie uczynię bełkotu...

Pomyśl!

Marta Fox

Apocalypsis cum figuris 2017

Bóg wąpi, czy jego wszechmoc jeszcze
działa,
a gdyby nawet, to nie wie, czy warto jej użyć.
Przytakuje Fukuyamie, bo historia się
skończyła.
Przytakuje Platonowi, który porzucił poetów
u bram swojego państwa. Umywa ręce
od podciętych skrzydeł i przepelnionych
łodzi,
które nie dobijają do brzegu.
Także od dzieci machających kikutami.
I od świętych, którym już nie ufa,
bo ich słowa smakują jak zimne szkło,
jak brudny tynek i kwaśne wino zamienione
w ocet.

Milczy, kiedy gasną kandelabry, spadają
korony drzew
i kiedy nawłóć się krzewi jak pochwała
głupoty.
Zasłania oczy siwymi włosami, by nie patrzeć
na hańbę błogosławienia gilotyn
i samochodów.

A jednak, z przyzwyczajenia, trzyma
skamieniałe
sznurki,
którymi kiedyś zręcznie manewrował,
zanim wessały wagon soli i łoż.

I teraz, w niebieskiej samotności,
we śnie i poza snem,
poza dobrem i złem,
Bóg umarł, powiedziała by Bóg.
Gdyby mógł.

Rozdwojenie

Rozdwajam się na męża i kochanka,
na pożądanie i obowiązek,
na tęsknotę i mycie podłóg.
Raz jestem matką Joanną od Aniołów,
raz łukiem tryumfalnym i kamasutrą.
Trzepoczą we mnie czerwone liście,
ciało zrywa cugle.
Przyjaciółka strofuje, jakby matką była,
a we mnie śmiech się perli,
strzelają guziki,
otwierają się bramy.
Idę jak szarańcza,
w przepaść idę, w tunele,
byle dalej, byle bliżej,
a po mnie choćby potop.

Ostatni list do kochanki

Odejdź,
nie chcę twojej żądz hańbą podszytej,
ani obietnic, ani piersi zmęczonych.
Odejdź,
nie brukaj mojej duszy alkoholu pełnej,
nie przyjeżdżaj, nie dzwoń, nie wymyślaj
mnie,

nie ratuj od złego ani dobrego,
nie zbawiaj krwią ostatnią i serca łomotem.
Zobacz,
znalazłem swoją norę, swój płot,
i zdechnę tam jak pies,
nie zakopuj mnie, nie rozpaczaj,
przenicuj swoją głowę,
wyczyść pamięć, wymień dysk.
Potrafisz,
połoweczko moja, łaski pełna
i żab rechoczących,
wilczyco samotna.
Bądź wola moja, a nie twoja,
teraz i w godzinę śmierci mojej.
Amen.

Jak to będzie

Jak to będzie, kiedy mnie już nie będzie,
kto spuści rolety, kto komu pomacha,
kto rano spojrzy na obrazy,
kto wypije kawę i połknie tabletkę,